

Szkółka



niedzielnia

Módl się i pracuj, a będziesz szczęśliwy.

Leszno. — Niedziela ósma po Zielonych świątkach, dnia 6. Lipca 1845.

Religia.

Historia nawrócenia mieszkańców wysp gambijskich w Australii.

(Dalszy ciąg.)

Po wielkiej usilności wylądowawszy, wylądowali swoje rzeczy i zanieśli do chaty, którą sobie byli wybrali. Lecz uczucia dowódcy już się odmieniły, i oświadczył im, że ich przyjąć nie chce i że oddalić się mają. Ta odmowa więcej ich bolała, a niżeli odpowiedź, którą poprzednio od króla otrzymali. Odjechali więc znowu, nie wiedząc, dokąd się udać mają. Wezwali więc Maryi: *Iter para tutum* (daj nam podróż bezpieczną), i wylądowawszy po wielu trudnościach na wyspę Akana, zostali przyjęci do chaty jednego rybaka, w której przeszło miesiąc mieli schronienie.

Szczęściem, zaraz po ich wylądowaniu wrócił od Opatrzności zesłany naczelnik wyspy z podróży swojej. Ten bardzo się uradował ich obecnością, polubił ich zaraz, odwiedzał codziennie, i żądał, aby na tej wyspie zostali. Pewnego razu chciał jeden Francuz z okrętu ściąć drzewo na wyspie; wzbraniał mu tego naczelnik; lecz gdy Francuz nie

śluchał, pospieszył naczelnik do jednego z dwóch kapłanów, księdza Caro i zaprowadził go do drzewa. Ten powiedział Europejczykowi, że on wprawdzie nie wie, czego dzicy chcą od niego, lecz że prosi, aby drzewa nie ścinał. Uczynił to Francuz i naczelnik powziął wielkie zaufanie do kapłanów. Ci przywieźli także z sobą rozmaite nasiona na wyspę, i dzieci zdumieli się wielce, widząc, iż się przyjmowały i rosły. Lecz gatunek wielkich szczurów, prawdziwa kłeska tej wyspy, pożarły im wszystko, a nawet sól, i dobrzy kapłani nie mieli środków oswobodzenia się od tej psotni. Brat Kolumban słysząc u wyspiarzy od tego, iż studnią wykopał. Zartowali oni początkowo z niego, i zapewniali ustawicznie, że nie znajdzie wody, ale raczej wodę morską. Lecz gdy się o dobroci zdrowej wody przekonali, nie mogli dosyć wydziwić się, i nazwali go: „człowiekiem, który wodę daje.“ Papka, czyli chleb, który wyspiarze z owocu chlebowego drzewa robią, i *Tioho* zowią, zdał się Missyonarzom z razu, jak wszystkim Europejczykowi, bardzo nie dobrym, dopóki się w końcu doń nie przyzwyczaili.

W święto Wniebowzięcia Maryi, oba-

dwa kapłani, w Mszy ofierze, złożyli Bogu hołd, godny najwyższego. Jakże za szczęśliwych się mieli, iż mogli go wielbić na ziemi, gdzie dotąd szatan był wielbiony! Odtąd zdawało się, że pokój zstąpił na wyspę Akana. Dziecię, co kilka dni miało, i śmiertelnie zachorowało, zostało ochrzczone, i we dwa dni po chrzcie umarło. Dusza ta była pierwszym kłosem żniwa, które posłańcy wiary zbierać się spodziewali. Pogrzebli małego trupa według obrządku katolickiego kościoła i zatknęli krzyż na jego mogile. Starali się wszelkimi siłami nauczyć mowy krajowej, i odwiedzali wszystkie dzieci chore, chrzcząc, które w niebezpieczeństwie śmierci zostawały. Dla odwiedzenia chorych dzieci, odbywali niekiedy podróż na wielką wyspę Mangareę. Tam popadli raz w wielkie niebezpieczeństwo, i o mało nie zostali pozabijani od mieszkańców tej wyspy, a często jeszcze w większym byli niebezpieczeństwie, jakie w Sodomie groziło od bezbożnych mieszkańców opiekuńczym Aniołom. Gdy razu jednego, podczas takiego przesładowania, dostali wielkiego pragnienia, znaleźli na jednej górze wysokiej źródło; a kiedy inną razą cierpieli wielkie łaknienie, wpadli na jednej łodzi rybackiej na ludzi, którzy im trzy ryby i cokolwiek Tioho (chleb) na brzeg porzucili. Tym sposobem utwierdziła się w nich wiara Opatrzności, która nad nimi czuwała.

Mieszkańcy wysp Akana chcieli wprawdzie zaraz posłańnikom wiary wystawić chatę, lecz ponieważ z natury byli bardzo zniewieściałymi i gnuśnymi, musieli zatem ci długo w chałupie rybaka mieszkać. Obadwa kapłani odprawiali codziennie świętą ofiarę. Ciekawość sprwadzała tam zawsze kilka osób, a obraz

Ukrzyżowanego nie pozostał bez skutku. Tém większą była boleść kapłanów, iż tak długo nie byli w stanie wyjaśnić niewiernym tajemnicy miłości i miłosierdzia. Z całą gorliwością pracowali około nauczania się języka, lecz ponieważ nie mieli żadnej pomocy, ani gramatyki, ani słownika, ani osoby, coby im pomódz mogła, praca zatem szła wolno.

Odwiedzili także raz wyspę Akamaru i zostali dobrze przyjęci. Zaczęto i tam także stawiać dla nich chatę. Naczelnik tej wyspy odwiedził ich także w uroczystość Narodzenia Maryi, na wyspie Akana. Zalił się na wiele chorób, które na jego wyspie panowały, i sądził, że takowe od powracających umarłych pochodziły. Kapłani, odwiedzwszy nie długo tę wyspę, znaleźli wiele chorób skórnych, i uważali, iż wiele dzieci od owadu niszczonech było. Obcinali im zatem włosy i oczyszczali.

W Październiku stanęła chata dla nich w Akamaru, i odtąd mieszkali oba kapłani jeden tydzień w Akamarze, drugi w Akana. Polubili ich bowiem już mieszkańcy, i byli chciwi widzieć ich i uczyć się nauki wiary. Nie rozumieli jeszcze, prawda, ojcowie ich języka, byli jednak w stanie na obudwóch wyspach szkołę założyć. Dali dzieciom do rąk pisane abecadło, i uczyli je znak krzyża robić. Skoro rodzice tych dzieci posłyszeli, jak dzielnym był znak krzyża, chcieli go także czynić. Gorliwość dzieci była tak wielka, iż posłańców wiary więcej nie opuszczali. Dorosli nawet młodzieńcy łączyli się do dzieci, chcąc się czytać nauczyć. Gdy widzieli i słyszeli, jak dobrzy ojcowie przed jedzeniem zegnali się w swoim języku, radowali się mocno; a ponieważ widzieli, jak się modlą, chcieli także nauczyć się

modlić. Nosili im ryby i Tiobo. Skoro przyszła sobota, i dobrzy ojcowie na drugą wyspę odjeżdżali, rozstawali się z nimi dzieci z żalem, i prosili, aby wnet powracali. Nie długo dowiedzieli się wszyscy mieszkańcy, iż tylko jeden jest Bóg, że ciało umiera, a dusza jest nieśmiertelna; że dobra dusza do nieba idzie i tam szczęśliwą będzie, a złe w ogień będą wrzucone. Pierwsza modlitwa, którą posłannicy wiary nauczyli dzieci, była ta: „Mój Boże! daj żyjącej duszy mojej, gdy ciało umrze, dostać się do nieba, aby ciebie oglądała w długim życiu, nie mającém końca.“ Naprzód czterech młodzieńców nauczyło się tej modlitewki, a potem inni. Wnet modliło się wiele osób rano i wieczór, przed i po jedzeniu. Nieraz nie chciały dzieci nic pić, dopóki znaku krzyża nie zrobiły i nie odmówiły modlitwy. Kiedy kto zachorował (a było wtedy wiele chorych), to przychodzili ludzie i prosili ojców, aby odwiedzali chorych, i modlili się nad nimi, aby ozdrowieli, i Bóg błogosławił ich modlitwie, że nikt długo nie chorował i nikt nie umierał. Chociaż mieszkańcy mieli skłonność do kradzieży, i lubili suknie, nie ukradli jednak nic Missyonarzom, a ci karmili ich nadzieją, że nakoniec okręt z Francyi przybędzie i przywiezie im materyi na suknie.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

Rozmaitości.

Panowanie gorzałki.

(Dokończenie.)

„Zajrzyjmyż teraz do domów pijaków. Coż tu widzisz wchodząc? Oto ledwo stare potłuczone łożysko z garścią barlogu, bez

pościeli! Zajrzyjmyż do gospodarstw tych ludzi, którzy się lubią tą gorzałczaną bawić trucizną, którzy nigdzie z większym upodobaniem nie zasiadają, jak w owych jaskiniach czartowskich. Często kroć po budynkach, po inwentarzu, po uprawie roli, można pijaka poznać; bo na co się wejrzy, to wszystko w nieporządku, zniszczone, obdarte, zbieżzone. — Czemuż? bo pijak nie ma chęci i ochoty zatrudnić się czémkolwiek. Gospodarstwo zostawione czeladzi marnieje widocznie coraz bardziej. Jego zbiory nie starczą na podatki, na potrzeby, na gorzałkę, na piękne chustki i stroje dla żony! Cóż tu robić, woła gorzałczany gospodarz, pieniędzy potrzeba, nikt pożyczyc nie chce? Ha! mówi nie lepsza od męża żonka, zastawmy płóskę, zastawmy lub sprzedajmy kawał ogrodu lub łąki, a będzie grosz; może nam też Pan Bóg lepiej potem błogosławić będzie, a dogrzebiem się znów tego, cośmy dziś stracili. Tak sobie wspólnie na szkodę własną, na krzywdę dzieci doradzają. Stała się wreszcie ugoda — kawał ziemi sprzedano, pieniądze jak przyszły, tak poszły, bo dłużnicy już na nie czekali. „Dość tam jeszcze masz pieniędzy?“ mówi miła żonka. — „Ha, już jeno pare trojaków.“ — „Jezus Marya, gdzieżes je podział?“ — „Dyćm zapłacił w jednej szynkowni 10 Tal., w drugiej 6, w trzeciej 15cie. Żydowim oddał co mi był pożyczyl, i rzemieślnikom; dosyć, że mi już nie wiele co pozostało.“ — „A dy ja też jeszcze winnam Jabramowi pare talarów; słysząc, żeśmy rolę sprzedali, napastuje mię co aż strach, i mówi jak mu dzisiaj nie oddam, to mię zaraz jutro będzie skarzył.“ — „A tyś za co winna?“ mówi mąż rozgniewany. — „Dyć za syc, za chustki i jeszcze tam za niektóre małe rzeczy.“ — „Cóż robić,“ mówi mąż, „trzeba iść do niego, bo może być więcej straty.“ Poszli więc do pana kupca. Zydek, niby rozgniewany, woła: „Gospodarze, moje penądze, jo was będzie skarzyć, jak nie zapłacicie.“ — „No kupece dość wam się należy?“ — „Dość się należy? oto rachunek: piętnaście Talarów.“ „Piętnaście Tal.“ mówi zadziwiony gospodarz, „a to za co?“ — „Wej, wy nie wiecie, za jedną chustę, za gorzałkę, za

poncz i arak, co wasza kobieta u mnie piła i brała. No, czy nie nie chcecie zapłacić? A gdzie wasza kobieta podzie drugi raz z swemi komoszkami i krewnemi, przecie u mnie najlepsze trunki, nawet z innego miasta odemnie biorą szynkarze!" — „A kiedy ja tyle pieniędzy nie mam.“ — „No ja nie chce penądze, ja mam penądze. Macie żytę, pszenicę, wełnę, to ja wezmę za te penądze.“ — „To dobrze,“ mówi ucieśszony gospodarz; tymczasem Zydek niezacznie w zawinięciu nowy towar żonce w koszyk włudził, bo ją jeszcze ma na czém patrzeć.

„Tak więc marnie poszedł kawał ziemi, który synowi pocziwy ojciec pozostawił, u którego nigdy biędzy nie było, który miał dosyć chleba dla siebie i dla innych potrzebujących wsparcia. W domu zaś jak była tak jest bięda. Dla niedozoru nigdy się nie uchowa, każde bydłátko trzeba kupić, a kupione nie długo trwa! czemu? bo co tydzień musi stać przed szynkownią, aż się kto zmiłuje i pana gospodarza na wózek wsadzi, leje w rękę poda i za miasto wyprowadzi. Zglodniałe, zmarzłe, przybywszy do domu, dzwoni zębami nad próżnym korytem, bo któż mu tam ma podać garsztkę słomy, lub siana? Na drugi dzień wlecze, wczorajszą gorzałką jeszcze odurzony gospodarz, szkapsko za łeb do pługa, — owo szkapsko, które drugi dzień głód mrzące, ledwo na nogach utrzymać się może! — Jakaż tu będzie robota — każdy zgadnie. — Jakie urodzaje na rolsku zarosną, które nigdy nie uprawi, tylko popyszcze; nigdy nie wymierzwi, bo gnój albo na rynku przed szynkownią został, albo też w stajniach, po drodze, lub też na pastwisku? Otóż gospodarstwo kochającego gorzałkę. Ale i gospodarstwo gospośi nie lepsze; ogrody dozorowi gospodyni pozostawione, poczęści są puste, lub nędzne tylko ogrodowiny wydają, spiżarnia próżna, bo co było kaszy, mąki, gosposia albo do szynkowni wyniosła za gorzałkę, albo w mieście sprzedała — resztę domownicy, dziewczki lub baby wypróżniły. — Czy jest, czy nie ma interes-

su, trzeba do miasta z koszykiem. Tę kurę, albo kaczkę, albo jaje, któreby mogła w domu zamiast gorzałki zjeść lub sprzedać, trzeba nieść do miasta — czemu? bo tam dobra wódeczka. Ta sprzedaż zaś trwa zawsze prawie do wieczora. A w domu jak sobie chce. Dzieci, te dzieci, za które matka ciężki przed Bogiem będzie musiała złożyć rachunek, te dzieci tułają się bez dozoru, bez nauki, zbrudzone, zwalane, obdarte, więcej podobne do zwierzęcia, niż człowieka, uczą się zawczasu, głodem przyciśnione, kradzieży tak w własnym domu, jak w obcym; uczą się kłamstwa, lenistwa, nieporządku, bo w tém rosna, na to się przypatrują, uczą się przekleństwa, złości. Któż je ma zaś od tego odzwyczajać, jeżeli nie matka. Mój Boże! a matka nie lepsza! Tym sposobem gospodarstwo marnieje, aż zmarnieje. — Długi robią się coraz większe, nareście dłużnicy widząc, że już należytość ich w niebezpieczeństwie — skarżą nieboraka — i zabierają wspólnie ze sądem nie tylko gospodarstwo, ale cały przyodziewek.

„Czytelniku, znasz może nie jednego, który tym sposobem z laską wyszedł z swego majątku, a dziś się tuła i żebrze wsparcia, dziś ciężarem innych. Nieszczęśliwie zaś dzieci, przyszedłszy do rozumu, z zgrozą przypominają sobie marnotrawstwo rodziców.“

„A dalibóg ci prawda, mój kochany kumtrze, święta prawda! tak się dzieje, tak,“ zawołał z uniesieniem Szczéry. — „A nu widzicie,“ rzekł Szoltys, „i jakto tu nie powstawać na to gorzałczysko, co tyle licha broi. A niech je tam wściornascy wezmą. Boć i wino nie lepsze, ale to nas nie tyczy; ono znowu tych wielkich maceruje. I onymby trza, by się pomiarkowali, bo to wszystko przybysze pobiorą.“ — Szczéry: „Niech wam też Bóg da zdrowie za to, żeście mi o téj książce powiedzieli; jak będę w mieście, to ją sobie zaraz kupię, bo ten mój zięć Mańczak, to potrzebuje takięj nauki.“

